Zeszyt 12. Rok I.



Lwów 18. Kwietnia 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

II.

(C. d.) W trzy dni później, około godziny czwartej po południu, Marja przyjmowała w salonie swoją chrzestną matkę, Molskę. Była to kobieta, której postać nie zdradzała zbyt podeszłego wieku, mimo, że ciemny włos świecił gdzieniegdzie srebrnemi nitkami siwizny. Jej twarz regularnych rysów, nie piękna ale nader miła i rozumna, powleczoną była jakąś smutną powagą, a czarny strój podnosił jeszcze smutek twarzy, choć zarazem całej postaci, wysmukłej i zręcznej, dodawał wdzięku i odmładzał. Była w ogóle nader sympatycznem zjawiskiem salonowej damy, w której nie ma ani na jotę udania, ani jednego giestu zdradzającego próżność, chęć uchodzenia za młodszą niż była w istocie.

Poważny smutek pani Molskiej stanowił doskonały kontrast do rozpromienienia, jakie się malowało na świeżej, uroczej twarzy młodej panny. Każdy rys, każda żyłka drgała na jej obliczu weselem i życiem; rozchylone usta uśmiechały się rozkosznie; wielkie, błękitne oczy błyszczały figlarnie; była prześliczną, gdy otoczywszy ramieniem kibić swej chrzestnej matki, patrzyła jej w oczy i szczebiotała wyrazy powitania.

Na kozetce przy oknie usiadła Molska, u nóg jej na taboreciku Marja. Molska gładziła ręką jej włosy.

— Coś mi zbytnico nadtoś wesoła, nadto pochlebna. Łasisz się jak kotka. Co to ma znaczyć?

— Zgadnij mateczko?...

— Oświadczył ci się ukochany?

— Wiesz najlepiej, że go nie mam.

— Bo przebierasz bardzo. Szukasz jakiejś doskonałości, gonisz za ideałami, a tych nie znaleźć na świecie...

— Przestraszasz mnie mamciu. Wszakże ja mam bardzo skromne żądania.

— Doprawdy? — zaśmiała się Molska.

— Ależ najpewniej. Mój ideał ma być tylko dużo rozumniejszy odemnie, dużo doświadczeńszy, trochę ogładzony, poważany przez tych, których kocham i mieć jakie takie stanowisko...

— Żądasz istotnie wcale nie wiele — zaśmiała się znów Molska — szkoda tylko, że twojemu ideałowi wyglądają siwe włosy.

— Jakto? — zapytała zdziwiona Marja.

— Naturalnie, gdyż aby zdobyć sobie doświadczenie życia, poważanie ogólne, rozum zbogacić i stanowisko zyskać, trzeba się wprzódy zestarzeć.

— Niedobra matko!... Ale odbiegłyśmy od przedmiotu. Wiesz dla czegom wesoła?

— Nie wiem jeszcze.

— Bom znalazła ideał dla ciebie — powiedziała Marja z udaną powagą.

— Dla mnie? Doskonałaś dziewczyno! I któż to taki?

— Zgadnij.

— Może który z naszych sąsiadów?

— I sąsiad i nie sąsiad, ktoś z bardzo bliska i z bardzo daleka...

— Istna wyrocznia delficka! Nie zgadnę.

— Pan profesor Antoni Bzowski — uroczyście oznajmiła Marja.

— Twój stryj? A tobie zkąd na myśl przyszło robić z niego ideał dla mnie?

— Bo mi się przyznał, że niegdyś kochał się w tobie na zabój.

— Co też to po tej głowie chodzi — rzekła Molska z uśmiechem. — I kiedyż to mianowicie profesor przyznał się do tego grzechu?

— Przed trzema dniami, tu w Bzowie.

— Jak to? Był tu? — spytała żywo Molska.

— I jest dotąd; zobaczysz go dziś jeszcze.

— Czy być może? — głos Molskiej drżał wzruszeniem, choć starała się to ukryć. — Po trzydziestu latach! Mój Boże!...

Bystremu wzrokowi Marji nie uszło ani jedno drgnięcie powiek chrzestnej matki.

— Tyś go kochała mateczko... — szepnęła z pieszczotą i uczuciem.

— Cicho dziecko, nie budź dawnych wspomnień... Po co dawne rany odświeżać... Lepiej powiedz mi, zkąd twoja wesołość? Czy cię tak cieszy przybycie stryja?

— Rozumie się. Odżyłam, odetchnęłam. Inny ruch wstąpił w nasz dom odkąd on przyjechał. Nawet ojciec weselszy. Ma się z kim sprzeczać, przed kim wygadać. Stryjek zawsze w doskonałym humorze, zawsze coś powie dowcipnego, czasem wyburczy, wyłaje. A z Brygidą to mamy tysiące pociech. Staruszka nie wie jak ma chodzić koło stryja. Jej się zawsze wydaje, że to mały Antoś, któremu nosek ucierać trzeba. Wyborna ona!...

— Powiedz mi Maryjko, jak się to stało, że stryj zdecydował się raz przecież zajrzeć do Bzowa?

— Czysto moja zasługa. Ojcu nigdy się uprosić nie dał. Wakacje uniwersyteckie spędzał bądź w Berlinie, bądź w Petersburgu lub Wiedniu, szperając po archiwach, dopiero gdym za ostatnią bytnością w Warszawie zaczęła go prosić i molestować, przychlebiać się i całować, kapitulował i wakacje u nas przepędzi. Już to mogę się pochwalić, że stryja owinę koło małego palca i zrobię z nim co zechcę. Ów postrach wszystkich początkujących pisarzy, każdy mój kaprys uważałby za godny do wypełnienia. Powiadam pani, że to złote serce w złotych okularach; dziwna mięszanina dobroduszności i sprytu, nauki i jowialności, powagi i humoru, troszeczeńkę rubaszny, a mimo to, od stóp do głowy *grand seigneur*.

— Zakochanaś w nim...

— Któżby go nie kochał, moja mateczko... Tylko co go nie widać...

— Poszedł na spacer, czy do żniwiarzy z ojcem?

— Poszedł do Leśnej — rzekła Marja z miną tajemniczą.

— Po co?

— Zwidzieć fabryki i poznać Bodmera. Tylko przed ojcem sza, kochana pani.

— Pewnieś go ty trzpiotko namówiła do tej wyprawy?

— Ja i nie ja. On sam był ciekawy poznać tego cywilizatora, na którego tutaj wszyscy wygadujemy niestworzone rzeczy. Stryjek twierdzi, że on musi być od nas mądrzejszy, bo go nie lubimy... Ja o tyle przyczyniłam się do wycieczki stryja, że zdradziłam chęć poznania urządzeń fabrycznych. On poszedł je zobaczyć, aby później mógł o nich opowiedzieć. Zawsze to lepiej będzie, jak całkowita niewiadomość.

Zaledwie Marja domówiła zdania, drzwi się uchyliły i stanął w nich oczekiwany profesor. Marja zerwała się taborecika i pobiegła powitać go.

— Stryjko już tutaj? — dziwiła się, biorąc jego rękę.

— Tutaj... tutaj moje serce. Jak się masz?

— Moje serce ma się wybornie — zaśmiała się Marja — tylko z utęsknieniem wyglądało twego powrotu, aby ci kogoś drogiego sercu pokazać.

Mówiąc to, wskazała profesorowi siedzącą przy oknie Molskę.

Profesor spojrzał na nią, poprawił okulary i wykrzyknął zdziwiony:

— Anna! Ta sama jak przed laty! — Z młodzieńczą żywością podbiegł ku Molskiej i obie jej ręce z kolei począł całować. Molskiej łzy stanęły w oczach; milcząco ściskała rękę profesora.

— Co to znaczy kobieta! — zawołał po chwili profesor. — Ja dziś stary grzyb, siwy jak gołąb, niedołęga kompletny, a pani wiecznie młoda!.... Pani mogłabyś całą noc hasać jak 17-letnie dziewczę, a ja dwóch mazurowych kroków nie zrobię, żebym się jak miech kowalski nie zdyszał... Ale choć już jestem nie do tańca, jestem jednak zawsze adoratorem płci pięknej, *usque ad finem*, moje serce, chciałem rzec, moja mości dobrodziejko....

— Nie widzieliśmy się tak dawno, profesorze.

— Ktoby tam liczył lata, moja mości dobrodziejko. Gotówby człowiek doliczyć się, że mu tylko trzy ćwierci do śmierci, a mnie to na co? Ja jeszcze chcę żyć. Ot co, moje serce, proszę raz jeszcze o rączkę do pocałowania i zostańmy przyjaciołmi. Na amory jużem za stary, ale ile jest we mnie uczucia, zabierz go pani dla siebie bez pytania.

— O, za pozwoleniem moi państwo — sprzeciwiła się Marja. — Cóżby dla mnie biednej zostało?

Profesor obrócił się ku niej i ujął za policzek.

— Bodmer, moje serce, Bodmer — rzekł z udaną powagą. — Tego ci z wielką ochotą zostawię. Niech go tam djabli, a przepraszam moje serce, niech się pani nie gorszy starym gderą, ale dalibóg, takim zły na niego i na tę czeczotkę, żem gotów palnąć jakie drugie przekleństwo...

— Wprowadził pana profesora w zły humor? — zapytała Molska.

— Nie podobał się stryjkowi? — ciekawie wtrąciła Marja.

— Et, co to nie podobał — powiedział z ferworem i naciskiem profesor. — Szkoda mówić moje serce! — Machnął ręką i przeszedł się po salonie. — Nie nasz człowiek i basta!...

Kobiety spojrzały na siebie wzajemnie i uśmiechnęły się.

— Ale jakiż przecie? — spytała Molska.

Profesor stanął przed nią.

— Ciekawe panie? Niech i tak będzie. Że mu nie powiedziałem kto jestem, rozumie się samo z siebie. Na co ma Niemiec kaleczyć moje nazwisko. Turysta i tyle. Życzę sobie zwidzieć pańskie zakłady. Przyjął to impertynencko-zimno-grzecznie i zaczął sondować, czy się na hutnictwie i górnictwie rozumiem, a gdy zmiarkował, że nic a nic, uśmiechnął się i kazał mnie oprowadzić po swoim zakładzie. Sam pisał dalej. Gdym po zwidzeniu przyszedł mu podziękować, raczył — mówię wam — raczył skinąć mi głową tylko. Poczekaj bratku, pomyślałem sobie, nie pozbędziesz się mnie tak prędko, muszę ja ciebie spenetrować. Zacząłem mu tedy chwalić kopalnię i hutę, a on na to: Pochwała od nieznawcy jest komplimentem bez najmniejszej wartości. Czy słyszał kto podobną impertynencję? Zjechałem więc na temat sąsiedztwa. Nie znam nikogo, mruknął. A bodajże cię! pomyślałem sobie. Czekaj, przecież ja dojdę twojej słabej strony. Więc otwieram rozmowę na temat, że nasza szlachta leniwa, głupia, niezaradna, próżniacza. A on w śmiech! Tego mi już było za wiele, więc pytam: Cóż powodem pańskiego śmiechu? On śmiejąc się, mówi: Jak pan ładnie charakteryzuje swoje gniazdo! Z czego pan wnosisz, żem szlachcic? krzyknę zły jak sto djabłów, a... przepraszam panie... A on: bo tylko szlachcic polski może tracić tak dużo czasu na próżnej gadaninie, choć widzi, że mam przed sobą pilną robotę. Osłupiałem i wyniosłem się. Czyż to nie największy grubianin pod słońcem? — I profesor znów się przeszedł po salonie, jakby chciał ruchem ulżyć swojemu sercu.

— Jakieś nieokrzesane chłopisko — oburzyła się Marja. — Gbur skończony!...

Profesor stanął i przypatrzył się bratanicy z dziwną miną.

— No, no, moje serce, tak znów bardzo na niego nie wymyślaj. Gbur bo gbur, ale żebym miał prawdę powiedzieć, to miał najzupełniejszą słuszność. — Ostatnie słowa wymówił profesor z naciskiem.

— Co ty mówisz stryjku? — zadziwiła się Marja, nie mogąc pojąć nagłej zmiany frontu.

— A mówię, mówię, że ma słuszność, że powiedział świętą prawdę. — Profesor uderzył się kilka razy w czoło, jakby sobie udzielał napomnienia. — Że też człowiek tego gadulstwa szlacheckiego poskromić w sobie nie może i czy wie co, czy nie wie, zawsze musi dysputować... Dobrą dał mi nauczkę, dalibóg dobrą. Lubię go za to!...

Marja zaśmiała się wesoło.

— Otóż macie — zawołała wśród śmiechu.

— A tak, moje serce. *Pereat mundus fiat justitia!* Dla czegoż nie przyznać się do błędu?

— Czy dowiedział się profesor coś bliższego o nim? — spytała Molska.

— O i owszem — odpowiedział, siadając na krześle. — Jego urzędnik, bardzo uprzejmy człowiek, oprowadzając mnie po fabrykach, opowiadał o swoim pryncypale i konterfekt jego wcale pochlebnie skreślił. Ma być małomowny, surowy, nawet bezwzględny, ale sprawiedliwy dla swoich ludzi. Najmniejsze przewinienie karze wydaleniem ze służby. Nie żyje z nikim, nikt u niego nie bywa, nikt nie zna jego pochodzenia, bo się nigdy, nigdzie i nikomu nie zwierza. Jest szorstki w obcowaniu z równymi sobie, uprzejmy względem niższych. Mówi biegle kilku językami, sam prowadzi całą korespondencję, i ile mogli z niego wymiarkować, ma być szatańsko kuty na wszystkie cztery nogi...

— Co też stryjek rozpowiada -- śmiała się Marja.

— Forma mowy, moje serce, nic więcej. — A teraz daj mi już pokój z tym twoim Bodmerem, mam go po uszy...

— Moim Bodmerem? — broniła się Marja. — Słyszy pani co ten niedobry stryjek mówi? Jakby on mnie tak znów bardzo obchodził... Zajmuje mnie tyle ile każdego innego w okolicy.

— Profesor nie powinieneś się dziwić naszej ciekawości — wtrąciła Molska. — Osiadł tutaj w chwili ogólnego rozstroju, po roku 1863 i gdy inni upadali, on się dźwigał. Zajmuje dotąd wyjątkowe stanowisko wśród obywatelstwa wiejskiego.

Profesor zaśmiał się.

— Prawda, że wyjątkowe. On ma rozum i pracuje, podczas gdy inni balują.

— Dlaczegoż nie starał się zbliżyć do nas? Na sposobności nie zbywało — mówiła Molska.

— Musi wierzyć w to, że gdzie cię nie proszą, tam cię kijem wynoszą. Zresztą o ilem go poznał, dobrze się stało. Niby się od was, moi państwo, nie nauczył, a dużoby mógł zapomnieć. Między nim a wami nie ma żadnych punktów stycznych.

— I być nie może. My, stara osiadła szlachta, on jakiś nieznany dorobkiewicz... przybłęda.

— Pani mówisz to serjo? — zapytał profesor, stając przed Molską z założonemi na plecy rękami.

— Całkiem serjo!...

— W takim razie pojęcia nasze rozchodzą się jak dwa przeciwne bieguny; bo u mnie — moje serce — każdy taki Bodmer ceniony jest na wagę

złota, podczas gdy za szlachcica nadętego jak pęcherz nie dam złamanego szeląga... Przepraszam was, moje panie, ale od czasu jak tu jestem, zdaje mi się, żem otoczony samymi pawiami...

Rozirytowany profesor chodził po pokoju wielkimi krokami. Panie rozmawiały z cicha ze sobą, przyczem Marja pokazywała Molskiej minę stryja i wesoło się śmiała. Po dłuższej przerwie zawiązała znów ogólną rozmowę Molska.

— Spodziewam się, że profesor zaszczyci mój domek swoją bytnością.

— Rozumie się, moja mości dobrodziejko — zwrócił się żywo profesor. — Złożę jej moje uszanowanie w towarzystwie tej zbytnicy. Będąc tutaj, nie mogę sobie odmówić tej przyjemności. Skrzele mają dla mnie urok, bom tam doznał pierwszych wzruszeń młodzieńczych, tam poczułem się mężczyzną. Istnieje też altanka z grabów?

— Istnieje, tylko dziś więcej cienista.

— A ów gołębnik wśród dziedzińca?

— Sterczy jak niegdyś, odnowiony przez mego syna, który jest wielkim amatorem gołębi.

Marja stojąca przy oknie, zwróciła uwagę mówiących na ojca, który powracał z pola.

— Ojcaszek musi być zmęczony. Dziś ostatni dzień żniw, więc pełno zajęcia.

— Tylko my odpoczywamy po nieodbytych trudach — śmiał się profesor.

— Co do mnie, jeszcze wczoraj ukończyłam zbiory; mogę więc rzeczywiście wypoczywać.

— Zabiegliwa z pani gosposia. Tylko ty młody próżniaczku — zwrócił się profesor do Marji — niczem się nie pochwalisz.

— Czyż ojciec da mi się czem zająć? Zawsze mówi: gdy będziesz na swojem gospodarstwie, to pracuj, teraz używaj.

— Chowa cię na lalkę, jak za gablotką... Mądry ojciec!

— Stryjaszku! — prosząco powiedziała Marja.

— No dobrze... dobrze; nic już nie powiem.

Drzwi się otwarły i wszedł Bzowski.

— A, powitać sąsiadkę dobrodziejkę — przemówił całując rękę Molskiej. — Daruje sąsiadka, że w takim domowym stroju ją witam — tu wskazał swoją kitlę płócienną — ale dalibóg nie ma czasu na przebranie się.

— Któż wymaga; wszakżeśmy swoi. Nie mamy potrzeby ceremonjowania się. Czyż ja nie wiem co to gospodarstwo?

— Może u sąsiady idzie jakoś więcej gładko, ale za to u mnie, to jak z kamienia. Potrzebowałem dzisiaj co najmniej 60 żniwiarzy, a mam ledwie dwudziestu. Desperacja! A tu zboże się sypie, prosi sierpa. I tak gdzie tknąć same troski i kłopoty...

— Czy ze mną tatko się nie przywita?

— A prawda! Jak się masz moje dziecko. — Pocałował ją w czoło i zwrócił się do Antoniego, chodzącego po pokoju. — Nie nudzisz się?

— Z kobietami? — odparł zapytany.

— Także się zapytałem! Spisałem się jak Grubski w tańcu. Co dziwnego, nie wiem gdzie mi głowa stoi... Po ile też sąsiadka płaciła żniwiarzom?

— Po dwadzieścia groszy i po kieliszku wódki.

— Patrzcież państwo! A ja daję trzydzieści i iść nie chcą!

— Dla tego, że Bzów graniczy z Leśną — wyjaśniała Molska.

— Otóż to! Chamy wolą iść gdzie lepiej płacą.

— Cóż dziwnego? Od tego chłopski rozum — wtrącił profesor.

— Pewnie, pewnie; a my możemy iść z torbami — irytował się Bzowski.

— Przyniesiono z poczty dwa listy do tatki — przemówiła Marja, chcąc zwrócić uwagę ojca na inny przedmiot, gdyż przeczuwała, że wspomnienie Leśnej może bardzo źle oddziałać na humor ojca.

— Gdzież są? — spytał, wyciągając rękę.

— Na stoliku, obok taty.

Wziął je ztamtąd i zapytał Molskiej przed rozpieczętowaniem ich.

— Czy pani pozwoli?

— Proszę bardzo; może coś ważnego....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XVI.

W czerwcu zjechała do Zalesia cała rodzina Zarembów i trochę ożywiła melancholijną ciszę tego pałacu i nudzącą się już Minę. Przyjęła ona swoich zwłaszcza Julka z pewnem zakłopotaniem i rumieńcem na twarzy. Stanęła jej w myśli scena w pokoju jej teraźniejszego męża.

Przypomniała sobie jego pocałunki i patrząc na tego świeżego, wesołego, pełnego życia młodzieńca, obawiała się samej siebie. Zauważyła zresztą we wszystkich przybyłych, z wyjątkiem może Julka, pewien tajony kwas i niepokój. Nieraz wieczorami, kiedy siedziano na tarasie przy herbacie, nagle rozmowa się urywała, kłopotliwe milczenie zapanowało, a tajone spojrzenia, jakieś błyski oczów nagłe, urywane dowodziły, że między nowo przybyłymi istnieje jakaś tajemnica, jakiś gniew ukrywany.

Zwłaszcza dawało się to spostrzegać między Zygmuntem Zarembą i jego żoną. Pani Łucja zawsze piękna, zawsze okazała, była jednak czegoś smutna i ona niegdyś tak ożywiona, tak wesoła, teraz w ogóle mało mówiła, na męża poglądała z gniewem, a nie-

kiedy stosowała do niego słowa, na które on odpowiadał błyskami niezwykłego uniesienia, a których nikt zrozumieć zresztą nie mógł. Do tego kwasu, tego ogólnego niezadowolenia przyczyniła się jeszcze Joanna, która trochę wcześniej przybyła i obejrzawszy wszystko, wydawała się głęboko przerażoną zbytkiem jaki tu panował.

— Co za pałac, jaki zbytek! Jak żyję, nic podobnego nie widziałam — mówiła do Millera — ja lękam się tu mieszkać, bo zdaje mi się, że to wszystko lada chwila runie i pogrzebie nas wraz z twem dobrem imieniem Fryderyku.

Zajęła najmniejszy, najskromniejszy pokoik, wyrzuciła z niego zbytkowniejsze meble, urządziła się z ostentacyjną prostotą, nikomu nie pozwalała sobie usługiwać, a gdy ją o to Miller zapytywał i robił jej z tego powodu wyrzuty, odpowiadała:

— Nie chcę! to zbytek tyle służby, tyle darmozjadów, którzy cię zrujnują Fryderyku.

Nic na to nie mówił, gniewał się tylko na te złe przepowiednie siostry, unosił się nawet, bo czuł, że ona ma racją, że pieniądze płyną jak woda i nie wiadomo kiedy się to skończy. Był teraz rozdrażniony, o lada co wybuchał gniewem, cały dzień mocno zajęty robotnikami, sprawdzaniem rachunków, doglądaniem wszystkiego, rozmowami i naradami z rządcą. Nieraz za głowę się łapał gdy mu przyniesiono jakiś sążnisty rachunek, gdy mu przedstawiono bajecznie wysoki kosztorys na jakieś przebudowanie lub coś podobnego. Wieczorami dopiero się ożywiał, gdy przyszedł na taras na herbatę, gdzie wśród zebranego całego towarzystwa śmiał się, prawił facecje niestworzone, zachwycał się cudownemi widokami nocy letniej, jaka się przed nim roztaczała. Ale wkrótce cichł i on, gdy spostrzegł ponurą twarz zawsze milczącej Joanny, zajętej wiecznie nigdy nie kończącą się robotą pończochy, gdy słyszał między małżonkami jakieś ucinkowe słowa, których zrozumieć nie mógł, gdy Julek szeptał coś do ucha Miny lub bratowej. Nie podsycana przez nikogo rozmowa urywała się i wszyscy znudzeni wzajemnie, zmęczeni panującą między sobą niechęcią, rozchodzili się do siebie dość wcześnie.

— Co to jest u djabła — pytał się samego siebie Miller — czego oni się na siebie boczą! Muszę ja tego dojść — mówił, myśląc o Zarembach.

Ale nazajutrz porywały go jego zajęcia codzienne, targi z rzemieślnikami, dostawcami, kupcami i zapominał o wszystkiem.

Raz spytał się o to Miny.

— Nie wiem — odrzekła mu krótko.

Życie więc wlokło się niewesoło w tym pałacu, na tej wsi, wśród przepysznej natury. Co dzień schodzono się, zamieniano konwencjonalne: dzień dobry, dobranoc, kobiety całowały się na zimno, grano komedją, pod którą niestety tliły zarzewia tragedji. Rano kobiety przychodziły na taras i gawędząc, czytając, patrząc z lenistwem rozpieszczonych natur na rozwijającą się przed niemi panoramę, przepędzały tak czas do objadu. Rzadko się śmiały. Joanna, która zjawiała się także, zawsze w ciemną suknię ubrana, zapięta pod szyję, o wydatnym gorsie, surowa, poważna, milcząca, mroziła odrazu wszelkie wybuchy wesołości. Koło południa przychodziła panna Karolina, która wstawała późno, biegła potem do kościoła i przybywała na taras zmęczona, spocona, milcząca. Julek zwykle towarzyszył paniom, usiłował je bawić, rozwijał swe teorje pesymistyczne, ale już nie spotykał wesołego sarkazmu ze strony swej bratowej. Ona siedziała, kołysząc się na fotelu, prześliczna w jasnych sukienkach, smutna i śledząca posępnym wzrokiem męża, który przechadzał się cały poranek po ogrodzie, lub po ruinach zamku.

Nieraz kiedy pani Łucja była sama z Julkiem, podnosiła się i pytała go tonem ostrym, surowym:

— Czy powiesz mi pan nakoniec?

Nazywała go teraz panem i nie uśmiechała się do niego zalotnie, jak to dawniej było.

— Nie, nie powiem, bo nic nie wiem.

Potem śmiejąc się dodawał:

— Bratowa wiesz, że cię kocham, że chciałem tem kłamstwem brzydkiem zapewne, ale usprawiedliwionem w mojem smutnem położeniu, rozgniewać żonę na męża. Wydawało mi się zwycięztwo wtedy łatwiejszem...

— Bezczelny pan jesteś! — wołała z gniewem. — Ja wiem, że się pan teraz umizgasz do tej kokietki Millerowej, ale to mi wszystko jest jedno. Pan mię nie oszukasz nowem kłamstwem. Ja wiem, że Zygmunt ma jakąś ukrytą miłostkę i dowiem się, dowiem... a wtedy biada tej kobiecie!

Oczy jej rzucały błyskawice, śliczna twarz pokrywała się purpurą gniewu, a Julek ruszając ramionami uciekał.

— Djabli nadali — mówił do siebie — narobiłem sobie bigosu. Nie miała baba kłopotu... Nie przypuszczałem, żeby ta kobieta wzięła me słowa tak do serca. I cóż tu robić?

Stawiał sobie to pytanie i nie umiał na nie odpowiedzieć. On wie dobrze, że Zygmunt się kocha w aktorce, w pannie Izie, że wydaje na nią dużo pieniędzy, że ta panna Iza ma za kilka dni zjechać do Buska, on wszystko to wie, ale przecież brata nie zdradzi. Gadulstwo jego, nieumiejętność ukrywania, zgubiło go.

— Jak się u licha odczepię od tej furji. Bo to prawdziwa furja. Co dzień mię dręczy i z błotem mię miesza...

Nie mogąc znaleźć wyjścia ze swego dość przykrego położenia, w jakiem się sam dobrowolnie postawił, nie myślał o niem. Zresztą on był czem in-

nem teraz zajęty. Jego upajała Mina, kochał się w niej na zabój z gorącem swej lekkiej, wrażliwej natury.

Gdy przyjechał do Zalesia, spostrzegł, że Mina zmieniła się bardzo. Utyła trochę i wyglądała prześlicznie, ze swym biustem przybierającym pełniejsze kształty, ze swemi biodrami szerokiemi, ze swą śmiałością i odwagą z jaką przystępowała do rozpraw o najdrażliwszych kwestjach życia.

Lato było gorące i Mina w swych lekkich sukienkach, zawsze bogatych i strojnych, wyglądała prześlicznie. Obrzucała Julka błyskawicami swych czarnych oczu, ale unikała starannie wszelkiego sam-na-sam. Niekiedy tylko nad wieczorem, gdy rozpoczynał się rozkoszny chłód po upalnym dniu, szła z nim i z panną Karoliną na przechadzkę do ogrodu, w cieniste, boczne aleje, lub nad staw, na którym tworzono sztuczną wyspę. Słońce zachodziło za basztę zamkową, która rysowała się swemi ciężkiemi murami na niebie z purpury, owinięta drżącym pyłem złocistym letniego wieczoru. Na staw otoczony rozrosłemi olchami, ztąd ciemny, czarny prawie, padały ukośne promienie słońca, wytwarzając pełne uroku efekta na tej wodzie ponurej i martwej. Przez krzewy gęste przedzierało się słońce, oświecało liście jasno i tworzyło jakby złociste tło tej zieleni, rozpływającej się w niepewnych, mglistych konturach.

Siadywali we troje: Mina, panna Karolina i Julek na kamiennej ławce, pod posągiem konającego Laokona. Ciemny ten, szary, spłukany deszczami i śniegiem posąg, odbijał się w niekształtnej, ruchomej masie w spokojnych wodach stawu i oblewał się purpurą od zachodzącego słońca. Ławka także szara, z zielonemi smugami od wilgoci, służyła za miejsce naprawdę słodkiego spoczynku.

Wszyscy troje wpatrywali się w cudowny widok rozwijający się przed nimi, napawali się wonią letniego wieczoru, ciszą drzemiącej natury, szmerem tysiąca komarów unoszących się nad wodą. Mówili o wszystkiem i o niczem, a nadewszystko zapominali o tych przykrych, codziennych, ukrytych kwasach, które tam w pałacu zatruwały życie. Tu Julek ożywiał się, a gdy mrok zapadał przytulał się do Miny, szukał jej ręki, którą całował ukradkiem przed panną Karoliną. Obojga przejmowały jakieś dreszcze tajemne, i Mina mimowoli zwieszała się w ramiona rozgorączkowanego młodzieńca.

Gdy słońce zaszło, gdy na niezgłębionym oceanie ciemnego błękitu poczęły występować gwiazdy, Julek rozwijał swój posępny pesymizm, mówił, że lęka się spojrzeć w niebo, bo czuje jakiś zawrót w umyśle zaraz, jakąś grozę okropną przed tą nieskończonością lazuru.

— Przestrzeń bez początku i końca, bez granic — szeptał — jest czemś strasznem, czemś dla mnie niepojętem. Zresztą, po co mi przestrzeń, po co mi niebo — dodawał drżąc cały — gdy ja niebo widzę w twoich oczach Mino.

Mówił jej już ty i ona nie gniewała się o to, tylko trwożliwie oglądała się na swą towarzyszkę, która nie słyszała a może udawała, że nie słyszy i nie widzi nic.

Mina jednak zachowywała się w ogóle bardzo ostrożnie i bardzo odpornie. Unikała z Julkiem dłuższych samotnych rozmów, a przytem spostrzegła, że jest pilnie strzeżoną przez Joannę. Wiele razy wyszli na przechadzkę, zawsze po niejakim czasie zjawiała się przed nimi Joanna w swej ciemnej sukni, poważna, surowa, wcielony posąg obowiązku. Jej nie zachwycały żadne widoki, nie przerażała ją nieskończoność nieba, owszem narzekała na wilgotne wyziewy ze stawu, na mnóstwo komarów gryzących nielitościwie i zwracała uwagę, że czas wracać do domu. Wracano więc, prowadząc ogólną, nudną rozmowę, i siadano na tarasie, by przepędzić resztę wieczoru w milczeniu, w poglądaniu na siebie. (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Gwido zmarszczył czoło i przygryzł wargi. Unikał zawsze wzmianki o przeszłości, w której zajmował podrzędne stanowisko prywatnego nauczyciela w jednym z zakładów i Henryk nie mógł go dotknąć z drażliwszej strony. Nadrabiając jednak miną rzekł z politowaniem mierząc Henryka pogardliwie:

— Daruj, ale porównanie niefortunne. Geniusz ma prawo, a nawet święty obowiązek zerwać ciasne granice, w które ujęto wieszczego ducha i wznieść się po nad zwykły poziom codziennego życia. Nie zechcesz przecież równej miary pociągnąć między nami. Co mnie uchodzi przy moim talencie, nie może mieć zastosowania do ciebie.

— Korzę się przed twoją wielkością! — wygłosił Henryk, a zwróciwszy się do Eweliny dodał: — Rzecz nie stoi tak źle jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Wyjazd mój nastąpił za wiedzą i osobistem zezwoleniem pana ministra, który udając się nadto do Wildbad wziął na siebie powiadomić ojca o tem co zaszło.

— Czy tak dobrze jesteś widziany u ministra? — zapytał Gwido zdziwiony takim obrotem sprawy. — Jego Ekscellencja nie bywa dostępny nawet dla tajnych radców.

— Moje osobiste przymioty kruszą wszelkie granice, zupełnie jak genjusz — drwił Henryk. — Możesz więc być spokojny o moją karjerę.

Widząc, że rozmowa dwóch młodych ludzi przybiera ostry charakter, chciała ją Ewelina zwrócić na inny przedmiot, zwróciła się więc do Hellmara, który trzymał w ręku gazetę i zapytała:

— Jest co nowego w dzienniku?

— Nic szczególnego! Stolica nie może sobie jeszcze dać rady z tą nową gwiazdą, która zabłysła na horyzoncie poezji dramatycznej. Śmieszne, żeby tyle hałasu wyprawiać dla jednej udałej sztuki, która w rezultacie może nad mierność się zaledwie wzniosła... Wspomniałem pani o tem — odparł Gwido z uśmiechem wyższości.

— Czy myślisz pan o „Kwiecie alpejskim“? — zapytała Ewelina. — Co pan mówi o tej sztuce panie Henryku? Musiałeś ją widzieć?

— Widziałem, ale sąd mój podporządkowuję pod zdanie Gwidona, w którego oczach sztuka nie znalazła łaski. Złamał nad nią miecz bez miłosierdzia — odpowiedział zapytany.

— Nie twierdzę tak absolutnie, żeby rzecz była zupełnie bez wartości — tłumaczył się Hellmar — są tam pewne efekciki i niektóre zalety, ale całość zanadto naciągnięta i akcja za gwałtowna. Wszystko leci naprzód jak tabun nieokiełzany, brak miary i pewnego spokoju, jednem słowem utwór niedojrzały i dziwię się tylko, że tak szalenie publiczność rozentuzjazmował. Podczas pierwszego przedstawienia nie było końca i miary przesadnym owacjom dla nieznanego autora, który urządził sobie sprytną reklamę przez zatajenie nazwiska — podobne kawały intrygują publiczność i usposabiają korzystnie dla nieznajomego; nawet dziennikarstwo jak jeden mąż sypnęło powodzią pochwalnych panegiryków na cześć nowo powstałej gwiazdy. Od trzech tygodni łamie sobie stolica głowę nad odgadnieniem autora i bądź temu lub innemu z znakomitych poetów przypisują autorstwo. Ręczę, że po niejakim czasie wypłynie autor w osobie wcale niepokaźnej figury.

— Zaczekajmy a dowiemy się — odrzekł Henryk lakonicznie, a zwrócony do Eweliny dodał: — Jeżeli pani zechce przeczytać tę okrzyczaną sztukę... przywiozłem ją z sobą myśląc, że zainteresuje Andzię.

— Pewnie! — odpowiedziała Andzia, nie wiedząc nawet o czem mowa. Inne myśli przepełniały młodą jej główkę. Co ją obchodziły jakieś tam dzieła nieznanych autorów; z wierszem „do Andzi“, który przyswoiła pamięci żaden nie wytrzyma porównania, tego była pewną.

Pani Rehfeld powstała i odprowadzona przez Hellmara poszła do salonu. Henryk wziąwszy kapelusz wyszedł do ogrodu na przechadzkę, przynajmniej tak mówił, a Andzia pospieszyła do altanki, gdzie zapomniała koszyk z robótką.

Odprowadziwszy panią Rehfeld do salonu, kręcił się Hellmar jak gdyby wyczekiwał żeby go zatrzymała, niestety Ewelina wcale o tem nie myślała, lecz wziąwszy w rękę gazetę usiadła pod oknem. Dotknięty do żywego takiem lekceważeniem wymówił się poeta pilnem pisaniem listów i wyszedł.

Przybył do willi Rehfeld pełen najlepszej myśli, że powzięty przed rokiem zamiar poślubienia Eweliny doprowadzi do skutku, wkrótce atoli przyszedł do smutnego przekonania, że grunt usunął mu się z pod nóg, i że prócz grzecznych wyrazów i uprzejmego traktowania niczego więcej nie może się spodziewać. Przybycie Henryka instynktowo uważał za niebezpieczne dla swoich zamiarów i to wprowadzało go w fatalny humor, który pogorszyło ogólne uwielbienie dla nowego geniuszu ni ztąd ni zowąd występującego utworem niepośledniej wartości. On który od 15 lat tyle rzeczy napisał, doczekał się zaledwie pochlebnej wzmianki w jednem lub drugiem piśmie a jakiś niewiadomy zdobywa od razu sympatję publiczności i dziennikarstwo całe przesadza się w pochwałach dla niego.

Po wyjściu Hellmara opuściła Ewelina salon i udała się do swego buduaru, gdzie zapatrzona w cudowny krajobraz lśniący świeżą zielonością oddała się marzeniom.

Od drzwi ozwał się znany jej głos Henryka:

— Czy wolno wejść? — i nie czekając odpowiedzi wszedł do pokoju. — Chciałem pani podziękować!

— Podziękować? za co? — zapytała Ewelina z widocznem wzruszeniem. Scena pożegnania tkwiła jej żywo w pamięci, a wyrazy: Ewuniu! dla mnie to zrób! wyryły się tam niezatartemi głoskami.

Znowu jak przed rokiem znalazła się sam na sam z Henrykiem w tym samym buduarze i w tem samem miejscu pod oknem. Pierś młodej kobiety podnosiła się szybko, a serce biło żywiej.

— Za dotrzymanie przyrzeczenia! — pochwycił Henryk. — Wiem z listów Andzi, jak trudnem było to zadanie w obec przykrego pana Eberhardta, ale dzięki Najwyższemu jesteś pani uratowana.

— Nie łudź się panie Henryku zwodniczą nadzieją — odpowiedziała poważnie młoda kobieta. — Winnam wdzięczność doktorowi Eberhardtowi, że mnie zwolnił od przykrych cierpień nerwowych i przedłużył na jakiś czas życie, ale nie uwodzę się i wiem, że to nie na długo.

— Jakto? więc nawet w obec widocznych oznak polepszenia nie porzuciłaś pani tych smutnych myśli o bliskiej śmierci? — przerwał Henryk prawie z gniewem.

— Nie! — brzmiała odpowiedź krótka lecz stanowcza.

— Ale ja wierzę i właśnie idę do doktora usłyszeć z jego ust potwierdzenie tego, co uważam już za pewne.

— Będzie milczał jak zawsze i właśnie to milczenie upewnia mnie w mych przypuszczeniach. Nigdy najmniejszem nawet słówkiem nie zrobił mi nadziei. Mimo swej szorstkości jest za nadto uczciwym, żeby wprowadzać kogo w błąd.

— Albo za nadto upartym, żeby na minutę przedtem, jak jemu się podoba, wypowiedzieć swoje zdanie. Ale mam sposób wydobyć z niego nawet najskrytszą myśl... Nie ustąpię aż się nie dowiem co myśli. Przynoszę książki przywiezione z miasta. — Z temi słowy położył na stoliczku przed panią Rehfeld kilka książek.

— Dziękuję! — odrzekła młoda kobieta zdziwiona nagłą zmianą przedmiotu rozmowy, a rzuciwszy okiem na książki dostrzegła na jednej z nich wyzłocony tytuł: „Kwiat alpejski“.

— Ach! Kwiat alpejski! — powtórzyła biorąc książkę do ręki. — To ten utwór, który pan Hellmar tak ostro osądził. Pociągnął mnie tytuł, bo jeżeli pan sobie przypomina, nazwałeś tem samem mianem kwiat ofiarowany mi przed rokiem, zdobyty z niebezpieczeństwem życia.

— Być może! — odparł Henryk obojętnie na pozór. — Wreszcie nazwa to tak ogólna, że doprawdy zapomniałem o niej.

— Zapomniałeś pan? — powtórzyła Ewelina zwróciwszy wzrok pełen wyrzutu na Henryka. — W takim razie zapomniane także przyrzeczenie, które równocześnie zostało mi dane. Myślałam, że mówiłeś pan wówczas to co ci dyktuje przekonanie, tymczasem...

Henryk niecierpliwie się żachnął i chciał porywczo odpowiedzieć na zarzut, powściągnął się jednak a przybrawszy żartobliwy wyraz mowy rzekł:

— Czy zaraz mam poddać się egzaminowi? Może mi pani użyczy zwłoki do jutra, żebym się należycie przygotował.

— Innemi słowy: Nie czujesz się czystym w sumieniu.

Henryk wybuchnął śmiechem.

— W tej chwili sumienie moje strasznie nieczyste, zwłaszcza względem pani; ale bez żartu... proszę o zwłokę kilkudniową, to jest do przyjazdu ojca. Wyrok zapadnie i tak dość wcześnie. Teraz muszę się puścić do jaskini dzika i złożyć moje uszanowanie jej mieszkańcom. Cieszę się na nasze spotkanie. Toż to będzie awantura! ale wymuszę na nim czystą prawdę. Do widzenia.

Skłoniwszy się ceremonialnie wyszedł młody Kroneg z pokoju gdzie Ewelina została pod dziwnem wrażeniem. Zachowanie się tego, o którym wyrobiła sobie sąd idealnie szczytny, jego lekceważące obejście i brak wszelkich względów dotknęły ją boleśnie, ujrzała wszystkie nadzieje zawiedzione, to co wypieściła wśród długich samotnych dni w sercu i duszy rozpadło się w nicość za jednem uderzeniem.

Henryk jakim go dzisiaj widziała, obojętny i lekceważący, zajęty jakiemiś myślami, których napróżno starała się dociec, czyż był tym samym Henrykiem rozstającym się z nią przed rokiem? Wówczas błagał i zaklinał ją żeby szanowała swe zdrowie, na klęczkach prawie wymógł, że poddała się kuracji lekarza, który ją wstrętem przejmował, a dziś mówiąc o niej przeskakiwał na rzeczy obojętne, na książki, odszedł pożegnawszy ją, jak gdyby obcą całkiem żegnał osobę. — Hellmar nigdyby się nie dopuścił takiej nieuwagi i miał słuszność, uważając swego towarzysza za stworzenie lekkomyślne, niepoprawne. Gwałtownym ruchem odsunęła od siebie książki.

* * *

Henryk udał się wprost do mieszkania Eberhardta. Przeszedł ogród gdzie nie spotkał żywej duszy i zamierzał właśnie pociągnąć za dzwonek, gdy się drzwi od sieni otworzyły, a w progu stanął Gilbert.

— Chwała Bogu, że pan przychodzisz — przywitał go młody eskulap. — Widziałem pana przez okno i wyszedłem na spotkanie.

— Czy co zaszło? — zapytał Henryk, spojrzawszy na bladą twarz i zaciśnięte usta pana asystenta.

— Pst! — szepnął tenże, oglądając się ostrożnie. — Chodź pan do mnie, tam opowiem wszystko. — Nie czekając odpowiedzi pociągnął Henryka do swego pokoju tuż przy wejściu i zamknął drzwi na klucz.

— Doktor Eberhardt wie o wszystkiem! — wypowiedział Gilbert z rozpaczliwym gestem.

— O pańskiej miłości? — poderwał Henryk.

— Tak! nieszczęsne wiersze, które ułożyłem na odwrotnej stronie medycznej rozprawy, wpadły w ręce temu niegodziwemu Marcinowi, a ten nie miał nic pilniejszego jak zanieść je doktorowi. Za powrotem z willi wyprawił mi straszną awanturę.

— Ślicznie! otóż i początek rewolucji. Przyznałeś się pan oczywiście do wszystkiego?

Pytanie to zmięszało Gilberta, który ze spuszczonemi oczyma nic na razie nie wyrzekł, ale po chwili opanował zwykłą nieśmiałość i wzburzony opowiedział Henrykowi całe zajście.

— Musiałem przebyć całą inkwizycję. Jak oskarżony, zostałem zarzucony najrozmaitszemi pytaniami, przytem nie brakło słów obelżywych. Czyż to taka zbrodnia kochać się? — zakończył Gilbert swój wywód.

— W oczach pańskiego pryncypała straszny to *crimen;* szkoda tylko, że nie byłem przy tej awanturze, musiała być arcyśmieszna.

— Nie chciałbym jeszcze raz dożyć czegoś podobnego. Doktor krzyczał i rzucał się jak wściekły, w czem mu Marcin sekundował. Obeszli się ze mną jak ze studentem.

— I pan pozwoliłeś na to? — zapytał Henryk, rozparłszy się w fotelu.

— Cóż miałem począć?

— Co? a drzwi od czego? Było wyjść i zostawić obydwóch.

— Sądzisz pan, że...

— Powinieneś pan opuścić ten dom, przynajmniej na teraz, zrobiwszy przedtem doktorowi taką samą scenę jaką on panu wyprawił — dokończył Henryk.

— Panie, to niepodobna! jest moim dobroczyńcą!

— I dlatego maltretuje pana na każdym kroku. Stokrotnie powetował na panu wszystko, co kiedykolwiek uczynił dla ciebie.

— Być może.... nie zdobędę się jednak na odwagę....

— W takim razie daj pan wszystkiemu spokój, ale także wybij sobie z głowy pannę Rehfeld. Nie patrz tak dziwnemi oczyma. Innego wyjścia nie ma, tylko zrzec się mojej kuzynki, albo postawić się ostro doktorowi. Wątpię żeby panu pozwolił ożenić się.

— Nigdy!

— Żałuję pana, zwłaszcza że panna Rehfeld nigdy nie odda swej ręki człowiekowi, który nie ma tyle odwagi, żeby tam gdzie chodzi o nią, zdobyć się na krok stanowczy.

— Tak pan sądzisz? Dobrze! Rozmówię się z nim inaczej. Cierpiałem długo w milczeniu, ale teraz koniec, pokażę im, że nie jestem lalką, z którą można bawić się do woli — wyrzucił Gilbert jednym tchem, mierząc pokój wielkimi krokami.

Ktoś zapukał do drzwi, a gdy Gilbert otworzył, ukazał się w progu Marcin i wezwał go głosem komendy do doktora Eberhardta.

Młody eskulap zmierzył zuchwałego famulusa śmiałem okiem, co mu się pierwszy raz zdarzyło i rzekł wyniośle, spoglądając przytem na Henryka, jakby w jego wzroku czerpał odwagę:

— Powiedz panu doktorowi, że mam gościa i teraz nie mogę mu służyć.

Marcin nie uznawał tej wymówki za usprawiedliwioną, li zmierzywszy Henryka pogardliwie, powtórzył rozkaz, że pan doktor kazał mu przyjść natychmiast.

— Więc powiedz, że nie przyjdę! — odparł Gilbert stanowczo, zerknąwszy na gościa.

— Co pan mówi? — zapytał Marcin, któremu się zdawało, że źle słyszał.

— To, że nie pójdę, a teraz wynoś się!

Stary cerber spojrzał na jednego i na drugiego ogłupiałym wzrokiem i przeżegnawszy się jak przed złym duchem, wyszedł spiesznym krokiem.

— Brawo! jak na początek wcale nie źle — zauważył Henryk. — Tylko tak dalej, a pokonamy tyranów. Za chwilę będzie tu doktor, nie ustąp pan ani na krok, a w ostatecznym razie wyjdź i zamieszkaj w gospodzie.

— Jeżeli inaczej być nie może, tak zrobię!

— Na wszelki wypadek będziesz pan potrzebował pieniędzy, służę panu tymczasem moją kasą — rzekł Henryk, podając młodemu przyjacielowi paczkę banknotów.

— Dziękuję, bo nie jestem bez środków. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży ruchomości po moim ojcu mam nietknięte, a ta suma wystarczy na jakiś czas.

— Tem lepiej, ale baczność! słyszę kroki. Pewnie doktor nadchodzi. Trzymaj się pan i myśl o Andzi.

— To mi doda odwagi! — odrzekł rezolutnie młodzieniec i z udanym spokojem siadł na sofce.

Henryk cieszył się w duszy z obrotu jaki sprawa przybrała od razu. Znał ludzi i wiedział, że natury podobne Gilbertowi, skoro raz przekroczą granice zwykłej uległości, zdobywają się na niezwykłą energję i wtenczas nie cofają się nawet przed ostatecznością.

Doktor Eberhardt wszedł z poważną, prawie uroczystą miną, wiodąc za sobą Marcina, który miał prawdopodobnie spełnić rolę świadka i oskarżyciela w jednej osobie.

— Sługa pana doktora! — przywitał Henryk zaraz na wstępie dziwaka, który uprzedzony przez Marcina o gościu swego asystenta, niezbyt uprzejmie na niego spoglądał. Czuł przez skórę, że Gilbert nie odważyłby się na własną rękę stawić mu opór i z góry domyślał się w tem współudziału tego „świszczypały“ jak Marcin ochrzcił Henryka.

— Pan Kroneg tu? — zapytał Eberhardt z udanem zdziwieniem. — Nie wiedziałem, że się znacie z moim asystentem.

— Jak to? towarzyszył panu przecież podczas pierwszej wizyty w willi Rehfeld, tam miałem przyjemność poznania go.

— Przypominam sobie — mruczał stary dziwak. Po załatwieniu się z Henrykiem, postąpił do swojego asystenta.

— Co to znaczy panie Gilbert? — wszczął głosem przepowiadającym burzę. — Marcin nie zrozumiał pana widocznie? Powtórz więc, co kazałeś odpowiedzieć na moje wezwanie.

Młody eskulap zawahał się zrazu, ale spotkawszy energiczne spojrzenie Henryka, cofnął się w tył i pewnie a nawet dobitnie odrzekł:

— Że mam gościa i...

— I że nie pójdziesz! — dokończył doktor.

— Tak jest, że nie pójdę! — wyrzucił Gilbert po krótkiej walce z sobą.

— Ejże! to coś zupełnie nowego! — wrzasnął Eberhardt w niesłychanem uniesieniu. — Czy myślisz, że tak sobie od niechcenia będziesz spełniał moje rozkazy? Hola młodziku!

— Wypraszam sobie.... — zaczął Gilbert, ale Eberhardt nie dał mu dojść do słowa i krzyknął na cały głos:

— Co sobie wypraszasz?

— Podobne traktowanie! — odrzucił asystent podszeptane sobie przez Henryka.

— Zaraz ja cię tu potraktuję! Marsz teraz do biblioteki — krzyczał doktor, a ręce latały mu jak skrzydła wiatraka.

— Nie pójdę i jeżeli pan nie zmienisz sposobu obchodzenia się ze mną, natenczas...

— Co... co? natenczas? — ryczał Eberhardt prawie rozszalały niesłychanym oporem swojego asystenta.

— Opuszczę natychmiast pański dom! — dokończył Gilbert, cofając się tyłem przed następującym pryncypałem.

Tego było za wiele. Stary profesor uderzył z całej siły pięścią o stół i jednym skokiem chciał dopaść buntującą się ofiarę, ale Gilbert szybko odskoczył w bok i nie czekając ponownego ataku, schwycił silną dłonią krzesło, którem rzucił o ziemię, że się rozsypało w kawałki. To sprawiło efekt. Eberhardt oniemiał z przerażenia i z niedowierzaniem spoglądał na rozgorączkowanego chłopca, który szukał pod ręką czegoś, na czemby dalej mógł wywrzeć swoją złość.

— Gilbert! co panu jest? — zapytał, zniżając głos prawie do szeptu. — Czyś oszalał?

— Bynajmniej! przyszedłem tylko do poczucia własnej godności i zrzucam jarzmo niewoli, które dźwigałem tak długo!

Mówiąc te słowa, złamał grubą laskę, która mu się nawinęła w rękę.

— Zwarjował! zupełny warjat! — zwrócił się doktor do Marcina, który z otwartą gębą i rozwartemi szeroko oczyma przypatrywał się całemu zajściu, ale tylko z progu, żeby w danym razie mieć zapewnioną drogę odwrotu. (C. d. n.)

Z Pamiętnika.

Wiosna pachnie,
Słowik śpiewa,
Dusza się do piosnki zrywa.
Zmilknij duszo, stłum zapały —
Tobie piosnki nie przystały.

Wiosna pachnie,
To nie tobie;
Słowik spiewa nie dla ciebie;
Twoja wiosna zejdzie w grobie,
A pieśń twoja zabrzmi w niebie.

Że twą stopą,
Depczesz zioła,
Miałżebyś je mienić swemi?
Że śpiew ptasząt brzmi dokoła,
Miałżebyś moc władać niemi?

Czuciem objąć
Ludzkie plemię,
Myślą wznieść się aż do nieba —
To cel życia na tej ziemi —
Na cóż tobie piosnki trzeba?...

Szczęsny Morawski.

Potęga prawdy.

(C. d.) Wtedy Marta z dumą szlachetną czoło podnosząc — rzekła głosem trochę drżącym, ale nie mniej stanowczo, niemal uroczyście:

— Nie! Tego nikt po mnie nie może wymagać, żebym niewczesnem milczeniem narażała moją dobrą sławę, skarb mój jedyny! — Serce złamane i zbolałe, w namiętnem uniesieniu nie zdołało ukryć tajemnicy, która tam miała na wieki pozostać. — Ten wzór istotnie rysował porucznik Althaus. Nasi ojcowie byli kolegami z ław szkolnych i od lat dziecięcych prawie żyli z sobą w serdecznej przyjaźni i zażyłości. I my dwoje, dziećmi razem bawiliśmy się, rośli, uczyli i... wreszcie pokochali. Był przez długie lata moim narzeczonym.

— I łudziliście się nadzieją, iż się kiedyś pobierzecie? — Asta oczy na nią zwróciła jak na istotę spadłą z księżyca.

Marta głową skinęła z gorzkim uśmiechem:

— Byliśmy na tyle dziećmi, iż przypuszczaliśmy, że głównym warunkiem do związku małżeńskiego jest miłość szczera i wzajemna.

— O, co za fatalna pomyłka! — Asta wykrzyknęła — miłość jest tu zupełnie zbyteczną. Każdy człowiek rozumny wzrusza miłosiernie ramionami utknąwszy przypadkiem na chorobliwych marzycieli, którzy utrzymują z całą naiwnością, że i serce powinnoby upomnieć się w tym wypadku o swoje prawa.

Teraz z kolei Marta osłupiała. Powinnaby się była czuć dotkniętą słowami, które były niejako krytyką jej zwierzeń serdecznych. Głos Asty był jednak taki drżący, oczy duże w łzie pływające patrzyły bezmyślnie w jakąś dal tak smętnie, z taką cichą a bolesną rezygnacją, iż Marcie w myśli nie postało obrazić się na nią.

— Czy mogę się spodziewać, iż pani raczysz przyjąć obstalunek? — spytała Asta po chwili.

— Przyjmę — ciężko westchnęła. — Będzie to dla mnie czas próby okropnej... czemże jest atoli odtąd życie moje? Łańcuchem nieprzerwanym wspomnień najboleśniejszych...

— O! jakże pani jesteś godną zazdrości! — Asta szepnęła. — Byłaś bodaj na chwilę szczęśliwą. Masz się ku czemuś myślą zwracać, posiadasz w duszy skarby niespożyte, których ci moc żadna wydrzeć nie zdoła. Możesz bez sromu płakać po utraconym, bo jednak... kochał ciebie! Nie narzekaj, nie skarż się na twoje losy. Są bole stokroć gorsze od twoich, które coraz głębiej duszę przenikają; a nie wolno ulżyć sobie ciężaru ni łzą, ni skargą, jeżeli owa biedną, udręczona srodze istota, nie chce spodlić się do reszty w oczach własnych!

Wypowiedziała to wszystko szybko, namiętnie, jakby sama z sobą rozmawiała, z wzrokiem błędnym,

w jeden punkt wlepionym. Uczuwszy na sobie oczy Marty zdziwione i pytające — drgnęła — jak ktoś nagle ze snu zbudzony, że aż ciężka złota branzoleta na ręce zadzwoniła.

— Chciej pani przyjść jutro rano skoro podejmujesz się tej roboty — zaczęła mówić wprost o interesie. — Przynieś odrazu próbki aksamitu lub atłasu na meble, jakoteż jedwabie, sznelki i wszelkie inne do haftu przybory. Może byś pani się oglądnęła jednocześnie za jakiemi zdolnemi pomocnicami? Na dwie ręce zadanie za trudne... nawet niemożliwe!

Marta tymczasem pozbierała rysunki i wciągnęła rękawiczki. Zawahała się na odchodnem pilnie nadsłuchując. Wreszcie odezwała się z rzewną szczerością:

— Przed chwilą brat pani miał gości... nie będę przecież narażona na spotkanie z nim?...

Asta spojrzała z serdecznem współczuciem na biedną dziewczynę, niemal omdlewającą z trwogi i wzruszenia.

— Czemuż pani nie uwolnisz się od tej męki, od tej ciągłej obawy? — rzekła z dobrocią. — Czemu stąd nie wyjedziesz?... W ogóle, z pani zdolnościami za ciasne pole w mieście prowincjonalnem.

A gdy Marta wypatrzyła się jakby słów jej nie rozumiała, tak dalej rzecz prowadziła:

— Żaden wódz najznakomitszy sam nie strzela i nie idzie na bagnety, tylko wyręcza się podwładnymi. Każdy umysł wyższy, obdarzony siłą twórczą, powinien objąć komendę nad istotami, które nie umieją myśleć i mogą li mechanicznie spełniać wydane im rozkazy. Powinnaś pani zatem starać się o miejsce dozorczyni w jakim wielkim zakładzie w stolicy. Tam i talent twój się rozwinie w całej potędze i znajdziesz utrzymanie odpowiedne. Rozszerzywszy zakres działalności nie będziesz miała czasu na bolesne rozmyślania, o tem co przeszło bezpowrotnie. Mam w Berlinie rozległe stosunki. Umieszczę panią gdzie sama zechcesz, w warunkach najkorzystniejszych. Tam będziesz pani mogła i mój obstalunek inaczej wykonać niż tutaj. Znajdziesz pod ręką wybór wielki w każdym kierunku i uzdolnionych wykonawców. Taki znaczny interes doda ci od razu powagi w obec właściciela magazynu. Tym sposobem będziemy wszyscy zadowoleni, a to jest podstawą w życiu, nieprawdaż? — uśmiechnęła się przyjaźnie.

Marcie aż się oczy rozpromieniły. Podobne stanowisko było oddawna jej skrytem marzeniem. Odżyła by na nowo! Czyż może jednak żądać od matki tak wielkiej ofiary? Zabierać grosik ostatni, uciułany mozolnie, od ust odjęty „na czarną godzinę?!“...

Potrząsła głową:

— Dzięki stokrotne!... Pani jesteś szlachetną, anielsko dobrą... nie mogę atoli z jej łaski korzystać...

Asta miała nad wiek doświadczenie i znajomość ludzkich stosunków. Łatwo odgadła o co się rozchodzi i z całą delikatnością przyszła w pomoc:

— Zostaw sobie pani czas do namysłu — wzięła Martę za obie ręce i serdecznie jak siostrę uściskała. — *A propos!...* Zapomniałam jeszcze podać jeden warunek dla mnie najważniejszy. Lubię mieć coś li dla siebie, czem by się nikt inny nie mógł pochwalić i byle gdzie z tem spotkać... Proszę zatem usilnie, żebyś mi pani raczyła sprzedać prawo wyłączne do tych wzorów. W tym sensie i do magazynu napiszę. A za tę zachciankę zapłacę najchętniej... dwa tysiące marek z góry... Czy zgoda?

Sięgnęła do małej szkatułki i podała Marcie rulon złota, z taką minką błagalną i niemal pokorną, jakby Marta jej łaskę wyświadczała.

Serce sercem się płaci. Marta przyjęła bez wahania ofiarę wspaniałomyślną; zrozumiała, ile ta szlachetna istota czuje radości wewnętrznej, jeżeli może komuś dopomódz, okruszyną bodaj ze swoich olbrzymich dochodów. Do łez rozrzewniona odpowiedziała:

— Nie śmiem dotknąć pani odmową, bo czuję, iż gdybym ja była na jej miejscu, bardzo by mię coś podobnego zabolało. Bóg niech to pani odda stokrotnie, a ja starań dołożę aby stać się godną jej łaskawej protekcji i położonego we mnie zaufania.

Z radością, jakiej oddawna nie doświadczyła, wróciła Marta do domu.

* * *

Ostatnie listki z drzew opadły. Suche i czarne konary olch, wierzb i kasztanów, tak jeszcze niedawno okryte zielonością, sterczały teraz niby ramiona z żałośną skargą ku niebu wyciągnięte.
ziemię spowiła, przenikając wilgocią do szpiku i kości. Jedna niby szary całun zsuwała się z góry, druga podnosiła się jako gęsta para z łąk i pól świeżo zoranych.

Małe okienka w domach na przedmieściu świeciły w pomroce, jak rząd robaczków świętojańskich. W jednem z nich, pomalowanem jaskrawo żółtą farbą, co nawet i przez mgłę dostrzedz można było, panował ruch niezwykły. Na piąterku pakowano i pakowano wielki kufer podróżny, że w końcu cała hurma dzieci murarza musiała wleźć na wierzch, żeby wieko domknąć się dało.

Pani Walther drżącemi rękami smarowała masłem bułki na pół przekrojone, szynką przekładając, dla Marty na drogę.

Wszystko było już gotowe. Trzeba było wreszcie matkę na czas krótki pożegnać.

— Niech się mateczka tylko nie martwi i oczek sobie płaczem nie psuje! — Marta z pośpiechem brała płaszcz i kapelusz udając bardzo odważną. — Czuję po raz pierwszy w życiu, iż weszłam na właściwe tory. Idę też w świat spokojna i zadowolona.

Jutro do dnia będę w Berlinie i natychmiast o wszystkiem doniosę. Szlachetna moja opiekunka poleciła mię i zachwaliła jak nie można lepiej, nawet mam już pomieszkanie wynajęte u ludzi najpoczciwszych: u córki dawnego kasjera w banku Löwensternów. Dzięki Bogu, iż wejdę w zupełne inne stosunki. Skoro się tam rozglądnę i urządzę jako tako, sprowadzam moją matusię jedyną!

Najstarsi dwaj synowie murarza znieśli z ojcem kufer i wsadzili na duże taczki. Do dworca było niedaleko, poczciwcy chcieli Marcie oszczędzić kosztu na dorożkę.

Marta szła ostatnia z dużą torbą podróżną, przez ramię przewieszoną.

Matka aż przed dom ją wyprowadziła mimo strzykania w głowie i łamania w nogach, przy tem szkaradnem powietrzu listopadowem.

— Wzięłaś ciepłe buciki?... Masz koszyk z prowiantami?... Okręć że szyję lepiej szalikiem!...

Przypolecała i przypominała to i owo do ostatniej chwili.

Marta rzuciła się matce na szyję, namiętnie całując twarz pomarszczoną i ręce spracowane. Wyrwała się z jej objęcia, skinęła ręką reszcie obecnych i usta zaciskając żeby płaczem nie wybuchnąć, spiesznie się oddaliła.

Matka ścigała postać ukochaną póki w mgle nie utonęła, nareszcie weszła na schody głośno i spazmatycznie szlochając.

Poczciwa murarzowa odprowadziła sztaruszkę aż na górę, starając się jak mogła pocieszać i uspokajać.

— Eh! czego bo pani sędzina tak płacze? — perswadowała. — Lepiej dla panny Marty że stąd wyjechała! Z porucznikiem Althaus szczęścia by tak czy siak nie zaznała... Za wielkie państwo!

— I mój mąż miał zostać radcą w tym roku, w którym umarł — pani Walther rzekła głosem urywanym.

— Ja to wiem! — kobiecina głową potrząsła. — Tylko że u pani sędziny żyło się inaczej, grosza się zawsze oszczędziło, a tam!... pożal się Boże! pieniądze wyrzucało się drzwiami i oknami!

— Za życia męża bardzo nam się dobrze powodziło — sędzina wróciła do tematu ulubionego. — Dawaliśmy nawet wieczorki tańcujące... Na kolację trzy półmiski... dwa mięsa i ryż na zimno z bitą śmietaną. Bawiono się zawsze wyśmienicie. A jakie mi nieboszczyk robił prezenta na imieniny! W roku ostatnim dostałam suknię z mory czysto jedwabnej, jasno szafirowej... i ten piękny szal francuzki, który biorę czasem do kościoła.

Łzy oschły, a nawet uśmiech błogi zawitał na bladych ustach sędziny. Było to dla niej prawdziwą rozkoszą przypominać sobie i opowiadać o dawnych dobrych czasach.

Murarzowa poprawiła w piecu tymczasem i węgla dorzuciła.

— Przyniosę pani sędzinie troszkę zupki! — uśmiechnęła się dobrodusznie. — Mamy dziś wyborną piwną polewkę. Mój Hans powiada, że tak jakby winna smakuje. A jak spi się po niej doskonale!

I żwawo kobiecina rozebrała sama staruszkę, wsadziła do łóżka, ciepło okryła i pobiegła po ową piwną polewkę która: „tak jak winna smakuje!“

Marta również łzy prędko stłumiła. Nie było czasu na rozrzewnianie się i marudzenie, jeżeli chciała jeszcze zdążyć do pociągu.

Pędziła zatem co tchu dzwigając ciężką torbę.

Mijali strumyk. Nad łączką snuły się i czepiały gałęzi mgły gęste wiszary. Spostrzegła jednak ścieżkę do kamienia wydeptaną. Nie było się tam z kim żegnać. Oddawna nikt już nic nie kładł i niczego nie szukał pod kamieniem. Oddawna przestali nawzajem powierzać kryjówce serc tajemnicę. Mimo mgły padł cień długi na drogę. To od starej olchy, pod którą tak często odpoczywali...

Teraz z pomiędzy kasztanów zabieliły się mury willi eleganckiej, w której dotąd rodzina Althaus mieszkała. Przez szyby kryształowe bił blask aż na aleję.

Przyśpieszyła kroku jakby uciec pragnęła przed czemś nieokreślonem, przed jakąś potęgą silniejszą niż miłość jej dla matki, silniejszą od jej własnej woli.

Dotarli do dworca. Ścisk, tartas i krzyki w około! Z mozołą przecisnęła się do kasy i kupiła bilet trzeciej klasy. Ucałowała serdecznie dzieciaka najmłodszego, który, niby ów komar w bajce popychał także wózek drobnemi rączętami. Starszych po główkach jasnych pogłaskała.

Została nareszcie samotna wśród tłumu nieznanego i obojętnego. Potrącając tego i owego, i nawzajem potrącana, wsiadła do *coupe* dla dam i pociąg ruszył z świstem przeraźliwym. (C. d. n.)

Korespondencja redakcji.

Wna K. M. w Sędz. Dziękujemy. Umieścimy wkrótce.

Wny Zygmunt Justyn we Lwowie. Prosimy przesłać nam łaskawie a z odpowiedzią zwlekać nie będziemy.

Wna M. Bacz. w Man. „Świat powieściowy“ w zeszłym roku nie wychodził wcale.

Wny Józef G. w N. T. Rzecz ładna lecz nieodpowiednia do „Kwiatów.“ Może coś z liryki?

Wna K. w Z. No, no, ktoby się spodziewał. Taka młoda a taka... dowcipna.

Wny Br. S. w San. Ignacy, panie dobrodzieju, Ignacy!

Wny Ks. w L. Ba, żeby można!

Wna N. S. w Bry. Płeć piękna stanowi wyjątek.

Wna Łucja w R. Łucjo, Łucjo, nie pisz więcej wierszy...

Drukarnia Polska ulica Jagiellońska l. 16 we Lwowie.